



Żeby się odegrać, Liam i Melody
będą musieli zaryzykować wszystko.
Nikt nie może wyjść z tego żywy.

AMERICAN SAVAGES

Trzeci tom nowej serii mafijnej

J. J. MCAVOY



Tytuł oryginału
American Savages
Copyright © 2015 by J. J. McAvoy
All rights reserved
Copyright © for Polish edition
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2020
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:
Katarzyna Moch
Korekta:
Justyna Nowak
Katarzyna Olchowy
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Przygotowanie okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-422-1

J. J. MCAVOY

AMERICAN SAVAGES

**SERIA
RUTHLESS PEOPLE #3**

**TŁUMACZENIE
MALWINA STOPYRA**

OŚWIĘCIM 2020

DEDYKACJA

*Do moich bezwzględnych czytelników:
mam nadzieję, że ta książka sprawi, że będziecie
śmiać się,
wzdrygać,
wiwatować
oraz
płakać,
ponieważ to jest już nasze pożegnanie.*

PROLOG

*Urodziłem się zgubiony i nie mam ochoty być odnalezionym.
~John Steinbeck*

ORLANDO

CZTERNAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ

Uderzył ją pięścią w twarz, posyłając na ziemię tak szybko, że włosy owinęły jej się wokół twarzy, zanim uderzyła w matę. Pozostała przez chwilę na podłodze ringu bokserskiego, ledwo żywa, zanim spróbowała podźwignąć się na nogi. Ramiona jej drżały, a pierś unosiła się i opadała, gdy desperacko starała się wtłoczyć powietrze do płuc. Zdołała podnieść się na jednym kolanie, zanim padła z powrotem na matę.

Żalotne.

– Wstawaj, Melody – powiedziałem, opierając się o ścianę starej sali treningowej za miastem. Była tak samo sfatygowana jak miasto. Nikt poza naszymi ludźmi już tutaj nie przychodził – pot z potu, gorąca krew z gorącej krwi, byliśmy Włochami, jednym ludem. A ona hańbiła się przed ludźmi, którzy powinni szanować ją najbardziej.

Nie ruszała się, leżała tak po prostu jak martwa rzecz. Ani człowiek, ani zwierzę.

– Powiedziałem: wstawaj, Melody!

Z niewielkim okrzykiem frustracji podźwignęła się na nogi i rzuciła na liny otaczające ring, żeby utrzymać się w pozycji pionowej, kiedy Gino ją złapał.

– Panienko? Panienko Giovanni? Wszystko w porządku? – spytał Gino i popatrzył na mnie szeroko otwartymi oczami, gdy nie odpowiedziała.

– Puść ją. I przysięgam na Boga Wszechmogącego, Melody, jeśli znowu upadniesz...

– Nic mi nie jest. – Założyła luźne pasmo włosów za ucho, stanęła prosto i uniosła obandażowane pięści. Kilka razy pokręciła głową, starając się zachować przytomność.

– Widzisz? Nic jej nie jest. Zaczynajcie od nowa – powiedziałem do niego.

– Proszę pana, to już dwie godziny...

– Nie obchodzi mnie, nawet jeśli minęły dwa dni! – warknąłem i właśnie w tej chwili to zobaczyłem. Wszyscy na sali patrzyli na moją córkę z litością, a na mnie z pogardą, jakbym był jakimś potworem. – WSZYSCY WYNOCHA! – zawołałem nagle, sprawiając, że podskoczyli i pędem ruszyli w stronę drzwi. Gino przesunął spojrzeniem między Melody a mną, zanim opuścił ring. – Później się z tobą rozmówię – oznajmiłem, a on przytaknął i wyszedł.

W sali było mrocznie. Jedyne źródło światła biło ze środka ringu, gdzie Melody czekała bez słowa. Wszedłem tam, złapałem tarcze treningowe i zakładając je, zacząłem dziewczynę okrążyć.

– Jesteś rozczarowaniem, Melody – szepnąłem. – I nie tylko dlatego, że ośmieszasz mnie oraz siebie. Ile masz lat, dwanaście czy cztery? Nadal potrzebujesz kogoś, kto cię uratuje? Kto będzie cię niańczyć? Tego właśnie chcesz?

– Nie, proszę pana. – Uniosła głowę. – Nic mi nie jest, mogę walczyć dalej.

– Nic ci nie jest? Minutę temu wyglądałaś jak nowo narodzony jelonek. Czy to dlatego, że jesteś teraz sama, nie chcesz robić przedstawienia?

Popatrzyła na mnie ze złością.

– Walczę już od dwóch godzin, tato. Każdy normalny człowiek...

– Ty nie jesteś normalna! Jesteś Melody Nicci Giovanni, córka Żelaznych Rąk – moja córka! „Normalna” nie jest przymiotnikiem, który cię określa! Wybitna. Nieustępliwa. Niepowstrzymana. Do tego właśnie powinnaś dążyć. Jesteś obolała? Twoje ciało wyje z udreki? Wiesz co? Takie jest twoje życie. Myślisz, że tamci idioci pomogli ci, bo im zależy? Bo jesteś *taka cenna*? Wtrącili się, żeby pokazać twoją słabość, żeby zniżyć cię do *ich* ograniczeń, do *ich* słabości. Pomocna dłoń jest zawsze samolubna. Jeśli nie potrafisz ocalić się sama, nie masz prawa zostać ocalona. – Napotkałem groźne spojrzenie jej ciemnobrązowych oczu. – Rozumiesz?

Nie odpowiedziała, po prostu wciąż wpatrywała się we mnie.

– Zadałem ci pytanie.

– Tak, proszę pana. Słyszę – ledwie wybąkała.

– Dobrze. – Podniosłem tarcze. – A teraz pięści w górę.

– *Ti odio* – powiedziała pod nosem i uderzyła w nie.

– Przepraszam, czego nienawidzisz?

– Niczego.

Tak właśnie myślałem.

Pewnego dnia mi za to podziękuje.

SEDRIC

CZTERNAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ

– Liam, za godzinę wybieram się na lunch z Nealem i Declanem, nie poszedłbyś z nami? – zapytała Evelyn, choć bardziej brzmiało to jak prośba, żeby jednak się skusił.

Liam siedział w rogu mojego gabinetu, otoczony książkami. Długie nogi miał wyciągnięte na podłodze, a plecy opierał o biblioteczkę. Przerwał na chwilę i spojrzał na moją żonę, a ona wytrzymała jego lodowaty wzrok.

– Dziękuję, matko, jadłem już lunch – odpowiedział, jakby nie posiadał żadnych emocji, którymi mógłby się z nią podzielić.

– No cóż, w takim razie zostawię was, żebyście dalej robili to, co tam robicie w tym lochu. – Uśmiechnęła się, a ja próbowałem odpowiedzieć tym samym, ale z jakiegoś powodu nie mogłem.

– Zadzwoń później – rzekłem, gdy pocałowała mnie w policzek przed wyjściem.

Kiedy tylko drzwi się zamknęły, podszedłem do kąta i trzasnąłem syna prosto w głowę.

– Auć! Co, do...

– Dlaczego musisz być aż tak podobny do mnie? – Westchnąłem i usiadłem obok niego. – Powinieneś brać ode mnie to, co dobre, a złe rzeczy zostawić za sobą. Chowanie urazy wobec rodziny...

– Nie chowam urazy.

Wpatrzyłem się w mojego syna. To prawie zabawne, jak dobrze potrafił odczytywać innych ludzi, a nie umiał zrozumieć samego siebie.

– Nadal jesteś na nią zły.

– Nie, nie jestem...

– Ja też czasami jeszcze jestem na nią zły – przerwałem mu, a on zamarł, odwrócił wzrok i mocniej ścisnął *Podróże z Charleyem* Johna Steinbecka. – Staram się o tym nie myśleć. O tych latach, które spędziła na odpychaniu nas wszystkich... Jak musiałeś się...

– Nic mi nie jest – warknął.

– Tak bardzo, że nie pozwalasz mi nawet dokończyć zdania?

Wziął głęboki wdech.

– Bądź ponad to, Liam. Odpuść. Nie była przy tobie, gdy byłeś chłopcem, wiem o tym, ale odpuść jej i kochaj ją jeszcze bardziej

za to, jak desperacko stara się być przy tobie teraz. Nigdy nie jest się za starym na matkę.

– A mówiłeś, że jestem jak ty? Zawsze dajesz rady, których sam nie stosujesz – wymamrotał mądryła, a ja zwalczyłem ochotę, żeby trzasnąć go jeszcze raz.

– Codziennie jemy rodzinną kolację, a twoja matka i ja każdej nocy konsumujemy również deser.

– Uch, tato! Nie mów tak, to brzmi, jakbyśmy rozmawiali o seksie. – Skrzywił się, a potem schował za książką.

Złapałem go za głowę i przyciągnąłem do siebie.

– Nie to miałem na myśli, idioto.

Odepchnął moje dłonie, a ja puściłem go ze śmiechem.

– Ale to również robimy.

– Serio?! Fuj... Przestań o tym gadać – błagał, a ja zaśmiałem się znowu, kiedy zrobił zniesmaczoną minę.

– Wszystko, co mamy i wszystko, co robię, jest dla rodziny, Liam. Irlandzkie klany, nasza krew, niezależnie, jak bardzo nas zranią albo zawiodą, są jedynym bezpiecznym schronieniem, jakie mamy w życiu. Wszystko to zaczęło się dlatego, że nikt o nas nie dbał... Nazywali nas irlandzkimi kundlami. Zostawili nas, żebyśmy zgnili na ulicy... A my połączyliśmy się, przetrwaliliśmy i trzymamy się razem, żeby nie umrzeć w samotności. To właśnie jest zadanie *Ceann na Conairte*. Osiągniesz to jedynie, jeśli...

– Odpuszcze – szepnął, a ja przytaknąłem.

– Idź na lunch, bo jeśli nie zdasz dzisiaj testu ze strzelania do celu, nie dostaniesz nic do jedzenia aż do jutrzejszej kolacji.

To od razu postawiło go na nogi. Kiedy otworzył drzwi, Neal stał tuż za nimi, górując nad młodszym bratem, który albo nie dbał o to, że jest niższy, albo tego nie zauważał. Liam popatrzył na brata z większymi pokładami dumy, niż powinien posiadać piętnastoletni chłopiec.

– Mama naprawdę chce, żebyś poszedł z nami na lunch – stwierdził Neal.

– Właśnie szedłem, *starszy bracie* – odparł Liam, wychodząc z pokoju, a ostrość w jego głosie była ewidentna.

Neal, Liam. Ciekawe, co z nich wyrośnie.

PIERWSZY

*W tym szaleństwie jest metoda.
~William Shakespeare*

LIAM

DZIEŃ 1

123.

124.

125.

126.

Odliczałem, podciągając się. Pręty biegnące w poprzek celi zapewniały mi dość miejsca na trening. Ignorując palący ból w ramionach, odliczałem kolejne serie. Jeśli potrafiłem ignorować głębokie zawrodoenie wokół, byłem też w stanie odnaleźć spokój w moim nowym kamienno-metalowym domu o wymiarach sześć na osiem. W ciągu stu dwudziestu siedmiu dni przynosili mnie z celi do celi, w różnych więzieniach w całym stanie, dla mojego „bezpieczeństwa”. Ale nic z tego nie miało znaczenia, bo byłem z dala od niej, od mojego syna i rodziny. Trenowanie i wypracowywanie każdego mięśnia do granic wytrzymałości to jedyne, co pozwalało mi zachować tę odrobinę zdrowia psychicznego, która mi jeszcze pozostała.

Żadnych emocji. Żadnego lęku. To mantra, którą utrzymywałem, czekając.

– Jak ci się podoba nowa komnata, Callahan? – zapytał jeden ze strażników, uderzając dłonią w drzwi celi. Bez kajdan i krat jego brawura nie byłaby taka oczywista. Ja to wiedziałem, on również.

– Ty pewnie nigdy nie byłeś w pałacu – odpowiedziałem ze stoickim spokojem, gdy podciągnąłem się jeszcze raz. Sto pięćdziesiąt podciągnięć, dwieście brzuszaków, dwieście pięćdziesiąt pompek... Tak wyglądały teraz moje dni.

– Cóż, to dostajesz, kiedy mordujesz żonę. Naczelniczka chce osobiście przywitać cię w twoim nowym domu – rzekł, a ja miałem ochotę zmasakrować mu twarz.

Westchnąłem i złapałem koszulkę leżącą na psim legowisku, które tu nazywali łóżkiem. Włożyłem dłonie w otwór w drzwiach, a ten mały skurczybyk założył mi kajdanki mocniej niż to konieczne. Ale jeśli spodziewał się reakcji, szukał w niewłaściwym, kurwa, miejscu. Cofnąłem się o krok, zaczekałem, aż otworzy drzwi i wyszedłem. Trzeba było trzech mężczyzn, wszystkich wielkich i łysych, żeby mnie eskortować.

– Idź – oznajmił najstarszy z nich i kiwnął w stronę korytarza, wydymając klatę jak pingwin. To nic nowego, przebywałem teraz w trzecim z kolei zakładzie karnym i z jakiegoś powodu wszyscy odczuwali potrzebę wykazania się i udowodnienia, kto jest królem tej zapchlonej dziury. Zawsze słyszałem te same obelgi, co w innych miejscach. Jak zwykle płynął w moją stronę potok hałaśliwych słów i gróźb.

– Uuuu, spójrzcie na tego ładniutkiego, białego chłopca.

– Gdzie się podziały twoje pieniądze, Callahan?

– Callahan, teraz jesteś *moją* dziwką.

– Jesteś gównem wart, chłopcze!

Idąc w stronę srebrnych, stalowych schodów, po prostu to ignorowałem. Każdy czekał na reakcję tylko po to, żeby zostać zauważonym. Przez choćby jedną chwilę w swojej żalosnej na-

miastce życia chcieli być zobaczeni i usłyszani. Nie zamierzałem zniżać się do ich poziomu... Od tego miałem ludzi.

– Lepiej na siebie uważaj, Callahan – powiedział strażnik, którego nazwiska nawet nie starałem się zapamiętać, kiedy otwierał przede mną stalowe drzwi.

Siedziała wciśnięta pomiędzy stare, dobrze zorganizowane biurko a ścianę pokrytą nagrodami, dyplomami i medalami. Miała rude włosy do ramion, okulary w ciemnych oprawkach i marynarkę. Nie mogła mieć więcej niż czterdzieści lat, a złota plakietka na biurku głosiła: „Dr Rachel Alden”.

– Proszę usiąść, panie Callahan. – Wskazała drewniane krzesło przed biurkiem, odwróciła się i sięgnęła po moje akta.

Kiedy usiadłem, dwaj strażnicy za mną upewnili się, że pamiętam o ich obecności. Kobieta obrzuciła mnie spojrzeniem jastrzębia. Ręce trzymała złożone i pochylała się do przodu, jakby szykowała się do skoku.

– Termin pana rozprawy przypada za dwadzieścia dni.

– Jestem tego świadomy – odpowiedziałem.

Zmarszczyła brwi.

– A pana zeznania nie uległy zmianie.

– Nie.

– Znaleźli pana but, na którym znajdowała się krew pańskiej żony, telefon z pana domu...

– Jestem teraz sądzony? Bo jeśli tak, myślę, że przysługuje mi prawnik. – Rozparłem się na krzesło i rozluźniłem ramiona.

Wzięła głęboki wdech i również się oparła.

– W porządku. Czy chciałby pan wyjaśnić mi, dlaczego znalazł się w moim zakładzie? A jeszcze lepiej, dlaczego w ciągu ostatnich czterech miesięcy przebywał pan w trzech więzieniach stanowych?

– Raczej nie.

– Dość, mądralo, bo zaraz trafisz do izolatki! – szczerknął facet za mną i złapał mnie za ramię.

Spojrzałem na jego owłosioną dłoń i odwróciłem się z powrotem w stronę kobiety.

– Najwidoczniej nie jestem zbyt dobry w nawiązywaniu przyjaźni... Jeśli chce pani wiedzieć więcej, zawsze można do nich zadzwonić. A jeszcze lepiej, przeczytać moje akta. W końcu leżą tu, na samym środku biurka.

– Postawię sprawę jasno: jeśli w ciągu następných dwudziestu dni zrobisz lub powiesz cokolwiek, co narazi życie moich pracowników, osobiście upewnię się, że zostaniesz wysłany do najgorszego więzienia o zastrzonym rygorze w tym stanie, zaraz po tym, jak zostaniesz uznany za winnego... I uwierz mi, tak się stanie, zważywszy na ilość dowodów, które pojawiają się znikąd i świadczą przeciwko tobie. Rozumiesz?

Prawie udało jej się mnie rozśmieszyć. Czy to miało być onieśmiejające?

– Tak, proszę pani. – Uśmiechnąłem się szeroko, a ona wygięła brew. – Czy to już wszystko?

Przytaknęła i po raz kolejny dwaj strażnicy położyli dłonie na moich ramionach, sygnalizując, żebym wstał.

Kiedy to zrobiłem, odwróciłem się jeszcze raz, żeby się do niej odezwać:

– Zażądam przeprosin *na piśmie*, kiedy to wszystko się skończy, pani naczelnik.

– To butne podejście mogło wydawać się urocze na zewnątrz. Ale tutaj tylko wpędzi pana w kłopoty, panie Callahan. Życzę miłego lunchu – warknęła, gdy drzwi się otworzyły.

To gówno, które nam tu dawali do jedzenia, ledwie można było nazwać lunchem, ale nic nie powiedziałem, kiedy ruszyliśmy do stołówki. Ten zakład nie wyglądał zbyt szczególnie, tylko stał, cegła i pomarańczowe kombinezony. Nie było na czym zawiesić oka ani na co zwrócić uwagi. Jestem chyba najbardziej ekscytującą postacią, która się tu pojawiła, od czasów Ala Cap-

ne. Strażnicy uśmiechnęli się pod nosem, zdejmując mi kajdanki, gdy dotarliśmy do podwójnych, czerwonych drzwi.

– Mam nadzieję, że spełnia twoje standardy, Callahan. Bo dla ciebie nie szykuje się nic lepszego – powiedział jeden z nich, a ja ugryzłem się w język, żeby nie skomentować.

Bez słowa ruszyłem do pustego stolika w tylnym rogu sali. Jednak zanim zdążyłem przemierzyć choćby połowę drogi, dwaj mężczyźni z tatuażami na rękach i szyjach zaszli mi drogę.

– Nie możesz tędy przejść – warknął z ciężkim, chicagowskim akcentem łysol pokryty tatuażami. Wszyscy przy jego stoliku założyli ramiona na piersi, starając się mnie onieśmielić.

Drugi mężczyzna zrobił krok do przodu.

– A na pewno nie bez opłaty.

– Naprawdę? A to dlaczego?

Rozprostowali mięśnie i uśmiechnęli się szeroko.

– Słuchaj, ty mały skurwielu, to jest nasz dom, lepiej się dopasuj albo może stać ci się krzywda. Oddział prewencyjny dociera tutaj w trzy minuty, a w takim czasie możemy narobić sporo szkód.

Więcej członków jego ekipy wstało i właśnie wtedy zauważyłem galaretkę na stole.

– Zamierzasz to zjeść?

Uśmiechnęli się pod nosem.

– Chłopcze, pojebało cię? Chcesz, kurwa, umrzeć? Spierdalaj z naszego terenu, albo wybijemy ci to gówno z głowy.

– Jestem pewien, że znacie albo słyszeliście moje nazwisko – szepnąłem, nie odsuwając się od niego na krok. – Ale nie *znacie* mnie i jestem pewien, że nie *chcecie* poznać.

Spojrzeli po sobie i zarechotali jak hieny.

– Słuchaj, ty...

Zanim wy dobył z siebie kolejne słowo, stopiony i zaostrzony łyżkowidelec znalazł się w jego szyi.

Pojawili się tak szybko, że ledwo dostrzegłem ich twarze. Grupka przy stoliku została wyciągnięta ze swoich miejsc prosto w przepychankę, która rozpełtała się na samym środku stołówki. W końcu nazywano nas walecznymi Irlandczykami nie bez powodu. Rozeszło się to jak plaga w zamkniętym pomieszczeniu. Zakaziło wszystko i wszystkich. Rozejrzałem się po sali i zauważyłem, że w sprzeczkę wciągnięto nawet tych, którzy nie mieli z nią nic wspólnego i teraz walczyli o życie, jak każdy mężczyzna z choćby kroplą irlandzkiej krwi w żyłach.

– Uch... – zakaszłał łysol leżący u moich stóp, dłońmi przykrywał głęboką, punktową ranę na szyi.

– To będą długie trzy minuty. Trzeba było po prostu mnie przepuścić. – Zmarszczyłem brwi, usiadłem przy stoliku i wziąłem miseczkę z czerwoną galaretką.

Odliczałem sekundy do przybycia oddziału prewencyjnego, a kiedy wreszcie dotarł, zauważyłem na górnym poziomie naczelniczkę Alden, która założyła ręce na piersi i patrzyła z wściekłością. Uniosłem w jej stronę miseczkę w geście toastu i zabrałem się za jedzenie.

– Wszyscy na podłogę! – wrzasnął jakiś skurwieli i zaczął rozdzielać ludzi.

Dokończyłem galaretkę i zająłem miejsce na podłodze, nie przerywając kontaktu wzrokowego z Alden. Nauczy się, tak jak cała reszta. To miejsce nie jest jej własnością... Jest moje. W każdym więzieniu potrzebowałem nie więcej niż trzech dni. Przez dwa pierwsze paliłem wszystko do cna, trzeciego odbudowywałem według własnego uznania.

Jeśli miałem spędzić kolejne dwadzieścia dni w tym gównianym grajdole, zamierzałem upewnić się, że wszyscy dowiedzą się, kim jestem i co się stanie, jeśli mnie wkurzą. Nadal byłem cholernym Callahanem, zamkniętym czy nie.

DZIEŃ 2

– Nie przesadzałeś, gdy mówiłeś, że masz problem z nawiązaniem przyjaźni. To zamieszanie było przez ciebie – stwierdziła pani naczelnik zza drzwi.

Zatrzymałem się w połowie brzuszka i rzuciłem na nią okiem.

– A kto powiedział, że przeze mnie?

– To mój zakład, Callahan.

– Jak ktoś oznacza coś jako swoje, to znaczy, że tak naprawdę tego nie posiada. Jeśli zakład jest twój, nie musisz o tym mówić, pani naczelnik.

Zmrużyła jastrzębie oczy, patrząc na mnie.

– Twoja matka była tutaj, żeby cię zobaczyć. Niestety, przez twoje wczorajsze występy dziś jesteśmy zamknięci. Przyniosła nawet zdjęcia, masz uroczego chłopczyka, ale to nie dla przestępców. Dziecięca pornografia to kontrabanda.

Skoczyłem na równe nogi i ruszyłem w stronę drzwi.

– Co ty, kurwa, próbujesz mi powiedzieć?

– No i jest ten gniew. Wiemy, że jesteś mordercą, ale jaki inny potwór w tobie siedzi? Takich jak ty widzę przez cały czas, a w twoich oczach jest taka sama ciemność. Tak jak powiedziałam, to miejsce należy do mnie.

Spokojnie, Liam. Uspokój się. Żadnych emocji. Żadnego strachu.

Oparłem się o drzwi.

– Nigdy nie spotkałaś takiego człowieka jak ja, pani naczelnik, i z radością ci to udowodnię.

– Miłego dnia, panie Callahan, wypuścimy cię jutro – syknęła i odwróciła się ode mnie.

Strażnik wepchnął tace z jedzeniem przez otwór tak mocno, jak mógł. Odsunąłem się i przyjąwszy ją, od razu upuściłem na podłogę... Nie było żadnej galaretki.

Zacisnąłem pięści i wyrząłem przez okno, starając się nie myśleć o niej. Chciałem wyrzucić ją z pieprzonej głowy!

– Niech cię szlag, Mel.

DZIEŃ 3

Rozejrzałem się po dziedzińcu i patrzyłem, jak przechodzą obok mnie. Nikt nie spojrział mi w oczy, po prostu kopali kamyki i szli dalej. Wszyscy trzymali się z daleka, a mała grupka Irlandczyków, która nie została zabrana do izolatek, stała niedaleko mnie, opierając się o mur. Zamierzałem się stąd wydostać, a kiedy to zrobię, ostatnim, co będzie mi potrzebne, to policja, która zacznie doszukiwać się powiązań. Wiedzieli o tym. A przynajmniej tak sądziłem, zanim nie podszedł jeden z nich.

– Panie Callahan.

– Tak, O'Connor? – zapytałem dużego faceta z rudymi włosami i wąsami.

– Sprzątnęliśmy czterech. Ale jednego wczoraj straciliśmy.

– Wyślij nazwisko do mojego brata. Zajmiemy się jego rodziną, jak zawsze.

– Wiemy, proszę pana. Dziękuję. Ale jest coś jeszcze, co powinien pan wiedzieć.

Westchnąłem i kiwnąłem głową, wpatrując się w mężczyznę.

– Wyrzuć to z siebie.

– Jest tutaj kilku Włochów. Niezbyt wielu, ale wystarczająco, żeby sprawiać problemy.

Nie odzywałem się przez chwilę. Zacisnąłem szczękę.

– Wierzą, że ją zabiłem.

– Tak, proszę pana, i chcą się zemścić.

Oczywiście, że tak.

Mojej rodzinie zajęło całe lata, żeby rozpracować system więziennictwa. Był bardziej skomplikowany, niż się wydawał. Potrzebny był lider, wystarczająco lojalny, żeby trzymać wszystkich Irlandczyków za kratami w szeregu, wystarczająco bystry,

żeby się nie wyróżniać i wystarczająco silny, by napęłnić strachem serce każdego skurwiela, jaki się tu pojawi. A co ważniejsze, musiał być oddany życiu w więzieniu i bez szans na wyjście. Gdyby było inaczej, mógłby nas sprzedać za warunkowe zwolnienie... O'Connor był właśnie takim człowiekiem. Zabił dwóch policjantów po tym, jak zabrali jego żonę i syna. Siedziałyby teraz w więzieniu okręgowym, gdyby nie przepelnienie.

– Kto jest ich liderem? – zapytałem w końcu.

– Łyżka.

Rzuciłem mu spojrzenie, ale tylko uśmiechnął się szeroko.

– Łyżka?

Wzruszył ramionami.

– Facet wygina łyżki, co innego mogę powiedzieć?

Zaśmiałem się, pokręciłem głową i przesunąłem palcami po włosach. Potem odchyliłem się w stronę słońca.

– W porządku. Zorganizuj mi spotkanie z *Łyżką*. Niech szlag trafi Włochów i te ich ksywki.

– Poszedł pan do łóżka z jednym z nich, nie wiem, jak to wszystko się potoczy – mruknął.

Zmarszczyłem brwi i stanąłem prosto.

– I nie musisz wiedzieć, to nie twoje zadanie. Po prostu zorganizuj mi spotkanie. Coś jeszcze?

– Jest tutaj wiele osób, które szukają towaru...

– Do widzenia, O'Connor – przerwałem mu.

Kiwnął głową, odwrócił się i skierował z powrotem do grupki Irlandczyków.

Musiałem skupić się na czymkolwiek poza moją żoną. Ale jak miałem to zrobić, skoro za każdym razem, gdy czułem bicie swojego serca, myślałem o niej i Ethanie?

Usłyszałem wezwanie przez interkom.

– Callahan, masz widzenie. Callahan, masz widzenie.

Odepchnąłem się od płotu, czując na sobie skupione spojrzenia, i skierowałem się w stronę budynku.

Pozostali z grupy łysola wpatrywali się we mnie, ale nie śmieili podejść bliżej. Meksykanie rozstąpili się, kiedy podszedłem, a czarni udawali, że nie istnieję. Dopóki nie wejda mi w drogę, nic im nie grozi.

Strażnicy założyli mi kajdanki i zaprowadzili do środka. Moja matka odwiedzała mnie co drugi dzień, nieważne, w którym więzieniu przebywałem i jak daleko się znajdowało. Zawsze miała podkręcone włosy, wyprasowaną sukienkę i nawet przez szybę czułem delikatną woń jej różanych perfum. Niezależnie, co się działo, zawsze obdarzała mnie szerokim uśmiechem. Nienawidziłem oglądać jej w takiej sytuacji.

– Dzień dobry, mamó – szepnąłem do słuchawki.

– Dzień dobry, dziecko. Jak się masz? – Zmarszczyła brwi, patrząc na mnie.

– Wszystko w porządku...

– Naczelniczka powiedziała, że wczoraj były jakieś zamieszki.

– Mamó, wszystko jest w porządku.

– Przestań tak mówić! – warknęła. – *Nic* nie jest w porządku. Przebywanie tutaj *nie* jest w porządku. Nienawidzę tego, że tu jesteś z tymi wszystkimi psami. Nie zabiłeś Melody.

– Myślisz, że tego nie wiem, mamó? – odparłem ze złością, unosząc się lekko na siedzeniu. Strażnicy postąpili do przodu, więc usiadłem z powrotem. Przesunąłem dłońmi po włosach i oparłem na nich podbródek.

– Przepraszam – szepnęła, ale nie powinna tego mówić.

– Nie, mamó, to ja przepraszam. Jak tam Ethan? – Ucisk w mojej piersi jeszcze się nasilił, kiedy o nim pomyślałem.

Na jej twarz powrócił uśmiech.

– Jest taki... cudowny. Wczoraj prawie wyrwał twojemu ojcu włosy z głowy, a gdy Sedric zaskamlał, mały zaczął do niego gaworzyć. Tak jakby próbował przekupić go swoim urokiem.

Uśmiechnąłem się na tę myśl.

– Liam, to już cztery miesiące, musisz go zobaczyć...

– Nie, mamó. Nie pozwolę, żeby mój syn przychodził odwiedzać mnie w więzieniu. To nie jest jego życie. Nie zgadzam się, żeby kiedykolwiek zobaczył wnętrze tego miejsca. – To Callahan, nigdy nie narażę go na coś takiego bez potrzeby.

Westchnęła.

– W porządku. Codziennie pokazuję mu twoje zdjęcia i filmiki z tobą. Zna cię i nie pozwolę mu zapomnieć.

– Upewnij się, że ją również widzi. – Musi ją znać.

– Więc będzie musiała ruszyć dupę, wrócić do domu i wyciągnąć cię stąd – syknęła przez zęby.

– Mamó.

– W porządku. Wiem. Ale kiedy w końcu wróci, porozmawiam sobie z nią na poważnie.

– Oczywiście...

– Streszczać się. Godziny odwiedzin się kończą! – wrzasnął strażnik.

Wyciągnęła rękę i położyła dłoń na szybie.

– Zobaczymy się podczas następnych odwiedzin.

– Mamó, nie musisz przychodzić...

– Zobaczymy się podczas następnych odwiedzin, Liam – powtórzyła.

– No dobrze. – Przyłożyłem dłoń do szyby w tym samym miejscu, co ona, zanim się rozłączyłem. Odłożyłem słuchawkę na haczyk i zrobiłem krok w tył.

Znowu pojawiły się kajdanki, kiedy odprowadzali mnie z dala od zapachu świeżych róż. Miałem nadzieję na chwilę samotności w celi, ale zamiast tego zostałem odprowadzony do stołówki. Całe pomieszczenie było sterylne, wyczyszczone od podłogi po sufit, jakby nigdy nie zdarzyły się tu żadne zamieszki. Kajdanki zniknęły tak szybko, jak się pojawiły, a O'Connor wskazał mi głową mężczyznę, który siedział sam przy stoliku na środku sali. Był wielki, to oczywiście, miał oliwkową skórę i gęste, siwe włosy.

Ruszyłem tą samą drogą, co poprzedniego dnia, ale żaden z grupy łysola nie ważył się spojrzeć w moją stronę, ani nawet się ruszyć. Byli świadomi mojej obecności, ale nie reagowali.

Kto powiedział, że starego psa nie da się nauczyć nowych sztuczek?

Zająłem miejsce naprzeciwko mężczyzny, od którego śmierdziało mięsem.

– Łyżka? – zapytałem, a on w odpowiedzi zgiął *plastikową* łyżkę. Chciał za to medal?

– Wzywałeś, Callahan? – zapytał z odrazą i zaczął grzebać palcami w jedzeniu.

– Pracujesz dla mojej żony.

– Pracowałem – poprawił mnie. Ciemnymi oczami wpatrywał się we mnie z gniewem. – Czas przeszedł.

– Nie, terazniejszy. Moja żona żyje.

Uśmiechnął się ironicznie.

– I co, mam uwierzyć ci na słowo?

– Tak, bo jestem słownym człowiekiem, a ty powinieneś zastanowić się nad konsekwencjami tego, że o tym zapominasz. Po tym wszystkim, co zrobiliśmy z moją żoną, sądzisz, że mógłbym być na tyle głupi, żeby dać się złapać za morderstwo? Myślisz, że policja Chicago, nie FBI albo CIA, tylko pierdolona policja Chicago była w stanie w końcu znaleźć na mnie haka? Naprawdę nie wyglądasz mi na idiotę, a jednak jestem tu i, jak określiłaby to moja żona, „marnuję słowa”. – Wziąłem budyń z jego tacy i zjadłem, używając tej samej łyżki, którą zgiął.

Zacisnął szczękę, zmierzył mnie wzrokiem i oceniał przez chwilę. Trybiki w jego małym mózdzku wyglądały, jakby pracowały ponad siły, próbując pojąć wszystko, co przed chwilą usłyszał. W końcu po prostu zmarł.

– Jesteś tutaj, bo tego chcesz? – szepnął zupełnie zbity z tropu.

– Bardziej muszę tu być, ale zmierzasz w dobrym kierunku – poprawiłem go i zjadłem kolejną łyżkę.

– Planujesz coś dużego.

Miałem ochotę wywrócić oczami, słysząc, jak głupio to brzmiało i jaki był podekscytowany.

– Nie ja, tylko my. Więc ustaw swoich pieprzonych ludzi w szeregu, bo pracujesz dla mojej żony, co znaczy, że z definicji pracujesz dla mnie. Jeśli będę musiał ci o tym przypominać, będziesz przeklinał dzień, w którym się urodziłeś, Nicoli. Tak, znam twoje nazwisko i powinieneś przestać nazywać siebie Łyżką. Są zrobione z plastiku, mój czteromiesięczny syn mógłby zgiąć je równie łatwo – stwierdziłem i podniosłem się z miejsca, zostawiając mu pustą miskę.

Siedemnaście dni. Siedemnaście pieprzonych dni.